

podaje się jako wydane już w r. 1886 (autor w 1910), dzieło Nikolskiego K. cytuje się jako wydane w 1907 r. (autor: w r. 1900). Całą klasyfikację poszczególnych liturgii opiera Lenczewski wyłącznie o kryteria F. E. Brightmana (niezrozumiała jest transkrypcja: Brajtman), przez co podkreślona jest jego doniosłość, należałoby zatem umieścić to dzieło w spisie bibliograficznym. Chodzi tu mianowicie o: *Liturgies Eastern and Western, I Eastern Liturgies*. Oxford 1896, 1965<sup>2</sup>. Na zacytowanie zasługiwałaby także: *Święta Liturgia Świętego Jana Złotoustego*. Warszawa 1936, jako że autor posługuje się tym właśnie tłumaczeniem omawiając samą liturgię eucharystyczną. Rażąco odczuwa się brak współczesnej literatury. Pozycja nabrałaby z pewnością większej wartości zwłaszcza dla studentów, gdyby przynajmniej do każdej z dwóch części zestawić odpowiednią literaturę, ale to już postulat dla następnych edycji. Pewne życzenia można również wysunąć pod adresem korekty i adiustacji pozycji.

Nie wchodząc już w analizę merytoryczną można stwierdzić, że pozycja Lenczewskiego może stać się bodźcem dla teologów liturgistów aby dotychczasowe podręczniki liturgiki ubogacić o treści nam często nieznane, a zawarte w Kościele Wielkiej Tradycji Apostolskiej.

Lublin

Ks. LEONARD GÓRKA SVD

ARTUR SANDAUER, *Bóg, Szatan, Mesjasz i ...?*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977, stron 295.

Jeszcze przed ukazaniem się książki można było wyrobić sobie zdanie o metodzie przekładu i analizy tekstu biblijnego, jaką to metodę obrał sobie Artur Sandauer. Liczne fragmenty książki, drukowane uprzednio, dawały o tym wyobrażenie. Wydana obecnie książka przynosi pełny obraz wysiłków autora. Ukazały się już pierwsze recenzje i na pewno ukażą się jeszcze dalsze. Problemy poruszone w książce przekraczają ramy jednej skromnej recenzji — wymagałoby to napisania antyksiążki Sandauera. W niniejszej krótkiej recenzji ograniczę się do typologii zalet i błędów książki; rozpracowanie tego (albo i poszerzenie typologii) to okazja dla innych wystąpić.

Zacznijmy od pozytywów (przecież nie żyjemy w czasach jaskiniowych, żeby tak od razu maczuga w Sandauera!).

1. Próba nowego przekładu Księgi Rodzaju. Wiadomo, jaką rolę odegrały przekłady biblijne w historii naszej kultury, nie tylko zresztą języka. Dlatego każdy nowy przekład biblijny, których przecież nie mamy tak wiele współcześnie w porównaniu do innych obszarów językowych, jest nawiązaniem do owego procesu kulturotwórczego, którego kontynuacja jest rzeczą bardzo pocieszającą.

2. Próba eseistyki biblijnej. Jest jakieś ogromne zapotrzebowanie na tego typu popularyzację trudnych przecież — bo obejmujących wiele dziedzin naukowych — zagadnień biblijnych. Ową „falę obskurantyzmu, zalewającą w chwili obecnej — pod pozorem badań religioznawczych — świat”, o której pisze w swoim słowie wstępnym autor, chcę rozumieć jako mnożenie się publikacji pseudonaukowych, które gdyby nie to, że sięją — używając Sandauerowego zwrotu — „męt i zamęt” intelektualny, nadawałyby się do kącików humoru.

3. Edytorskie osiągnięcie. To już zasługa wydawnictwa — i to pociesza człowieka, że można jeszcze wydrukować książkę, którą od strony graficznej przyjemnie jest wziąć do ręki.

A teraz negatywy, czyli z maczugą do Sandauera (ale bez obawy o jego całość).

1. Nie ma jednolitego kryterium przekładu. Można się zgodzić na rozmaite kryteria, ale muszą one najpierw być. Przekład Sandauera czyni wrażenie kaprysu tłumacza: śmieszące archaizmy (*ćma* — studenci ryknęli śmiechem, gdy to przeczytałem!), zestawienia słowne (*męstwo* — *żeństwo*, *mężycą ona się nazowie*), stylizacje poetyckie, w których ginie sens (dla czego Sandauer zniekształcił tekst Protoewangelii: Rdz 3, 15?).

2. Fiasko tzw. metody socjologicznej. Analizę tekstu biblijnego musimy zacząć — chcąc nie chcąc — od tekstu. Metoda socjologiczna, jeśli już ją chce Sandauer stosować (s. 167), musi wyjść od tekstu.

3. Pomieszanie poziomów hermeneutycznych. Trzeba odróżnić to, co mówi nam tekst, od tego, co my chcemy, żeby tekst mówił. Hermeneutyka jest jak przyroda: mści się, choć nierychło, gdy się ją pogwałci.

4. Nieścistości historyczne. Jest ich zbyt wiele, by je można było wszystkie pokrótce wyliczyć. A to jest już nieprzyzwoitość. Eseista winien być przyzwoity.

5. Arbitralność hipotez. Hipoteza goni hipotezę, a wszystkie się gubią. Eseistyka nie jest rodzajem „science fiction”.

6. Oderwanie od bazy naukowej. Godne pochwały jest usunięcie balastu naukowego, który częstokroć zniechęca przedwcześnie żadnych wiedzy. Nie oznacza to jednak rezygnacji z wyników ostatnich badań naukowych. A badania dzisiejsze nad Biblią są różne: od analizy strukturalistycznej do wykopalisk archeologicznych. Eseista nie ma obowiązku — a zwykle i możliwości — przeprowadzania badań naukowych, ale winien je uwzględnić, i wówczas jego esej ma wartość. „La Bible c'est mon livre” — pisał Victor Hugo. Ostatecznie zawsze tak bywa, że fachowiec będzie wytykał błędy niefachowcowi, a ten ostatni będzie miał mu to za złe. Dlatego odkładam swoją maczugę, nie wyrządziła przecież wiele szkody Sandauerowi. Ale jedno wrażenie prześladowało mnie podczas lektury esejów Sandauera: że Sandauer nie lubi Biblii. A nie można pisać poprawnie o tym, czego się nie lubi. Jednak jestem optymistą: Sandauer jeszcze polubi Biblię.